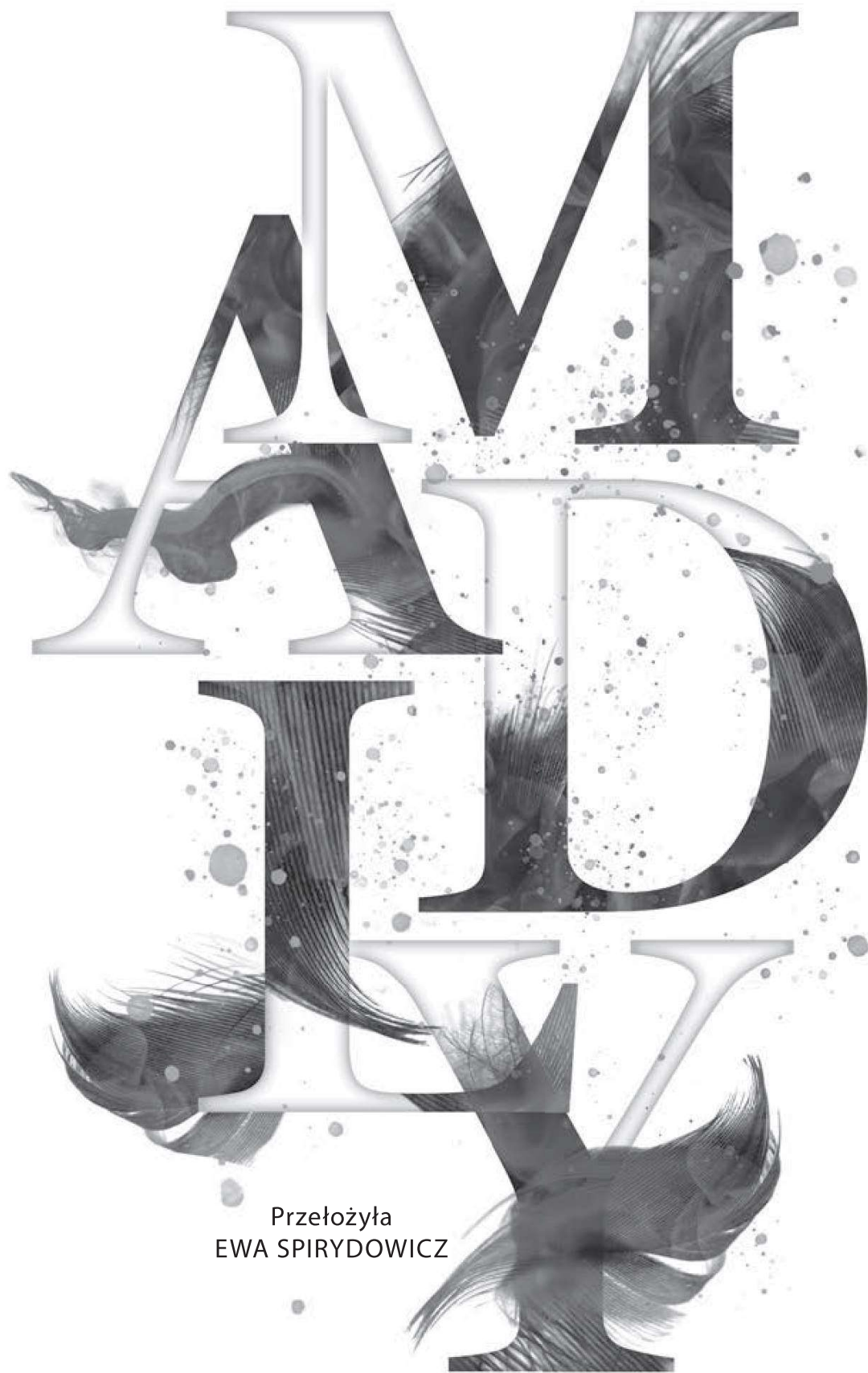




A V A R E E D



Przełożyła
EWA SPIRYDOWICZ



Tytuł oryginału: *Madly*
Redakcja: Dorota Matejczyk
Korekta: Marta Tojza, Renata Kuk
Skład i łamanie: Robert Majcher
Opracowanie graficzne polskiej okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright © 2020 by Bastei Lübbe AG, Köln
Ilustracja na okładce © 2020 by Rhett Podersoo
Projekt okładki © Andrea Janas – andreajanas.com
Zdjęcie Autorki © Ava Reed
Copyright for the Polish edition © 2021 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-005-0

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2021

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

Druk i oprawa: Lega
Wydrukowano na papierze Creamy 80g,
dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o

Wszystkim, którzy wstydzą się swojego ciała i za rzadko słyszeli:
jest piękne. Takie, jakie jest. Może nie doskonałe, ale piękne.

Zaakceptuj siebie, nie walcz ze sobą. Nie torturuj się, nie
krzywdź, nie rań. Zmień się, kiedy i jeśli chcesz. Nie dlatego,
że tego wymaga od ciebie społeczeństwo, że cię do tego zmusza.

Poczucie własnej wartości jest bezcenne. Zasługujesz na nie.

Świat płonął i nikt nie mógł mnie uratować oprócz ciebie.
Dziwne, co głupców skłoni do pożądania.
Nigdy nie marzyłem, że spotkam kogoś takiego jak ty.
I nigdy nie marzyłem, że stracę kogoś takiego jak ty.

Wicked Game – Chris Isaak, okładka Emika

Playlista Andie i Coopera

Savage Garden – *Truly Madly Deeply*

Hozier – *Work Song*

Billie Eilish – *when the party's over*

Kings of Leon – *Use Somebody*

Macy Gray (Cover by Jasmine Thompson) – *I Try*

Ella Eyre – *We Don't Have to Take Our Clothes Off*

Sting – *Fields of Gold*

The Script – *Breakeven*

Florence and the Machine – *No Light, No Light*

Kodaline – *All I Want (Part 1)*

Elderbrook & Rudimental – *Something About You*

Amber Run – *I Found*

Parson James – *Only You*

The Heavy – *How You Like Me Now (Raffertie Remix)*

Old Man Canyon – *Phantoms & Friends*

Bishop Briggs – *The Way I Do*

Kygo & Whitney Houston – *Higher Love*

Mark Ronson ft. Miley Cyrus –

Nothing Breaks Like a Heart (in the Live Lounge)

Florence and the Machine – *Shake it out*

Shawn Mendes & Camila Cabello – *Señorita*

Prolog

Większość ludzi śmieje się z rzeczy, których nie rozumie, i zakłada, że to, czego nie znamy, nie istnieje. Póki nie natkną się na to oko w oko... Dopiero wtedy rozumieją to naprawdę.

Mason

Zakochałem się w June, kiedy z beczelnym błyskiem w oku wylała drinka na moją elegancką koszulę od dobrego projektanta.

W pierwszej chwili wzięła mnie za kogoś innego. Nie miała pojęcia, kim jestem. Gdy wracam myślami do tamtego wydarzenia, z uśmiechem potrząsam głową. Nawet dzisiaj. Przypominam sobie ogień w jej spojrzeniu, gniewny głos, którym oznajmiła, że mam spadać i że nigdy w życiu dla mnie nie zajęczy – chociaż, na Boga, przysiągłem sobie, że prędzej czy później jednak do tego dojdzie.

Kiedy wtedy przed nią stałem, myślałem o zaciągnięciu jej do łóżka, kiedy jednak ruszyła w moją stronę i z dumnie uniesioną głową przykleiła mi kawałek ananasa do klatki piersiowej, zapragnąłem, by była obecna w moim życiu. Chciałem ją poznać. Koniec końców zapewne właśnie dlatego zaproponowałem jej najlepszej przyjaciółce, Andie, pracę w moim klubie,

choć wcale jej wtedy nie znałem. Chciałem ponownie zobaczyć June. Za wszelką cenę.

A do tego, przyznaję, naprawdę rozpaczliwie potrzebowałem kogoś do pomocy za barem.

Zaczęło się bardzo obiecująco.

Na tę myśl śmieję się sucho i dolewam sobie whisky. To już chyba czwarta szklaneczka. Chyba, nie liczyłem.

Dzisiaj klub jest zamknięty. Nie ma tu nikogo, tylko ja daremnie usiłuję zalać troski alkoholem. A przecież piję rzadko. Każdy jednak ma chwile słabości. Ja mam ją teraz. Dzisiaj. Podobnie jak każdego innego cholernego dnia, odkąd znam June.

Upijam spory łyk. Alkohol pali mnie w usta i przełyk. Bardzo dobrze.

Rozbity, wkurzony na cały ten bajzel, który wydarzył się w ciągu ostatnich dni, a zwłaszcza teraz, prostuję się, rozpinam koszulę pod szyją i... A niech to szlag! Rozpinam kamizelkę, ściągam ją, ciskam na kontuar, szybko przeczesuję włosy palcami. Mam w nosie, jak wyglądam. Mam w nosie, co jeszcze się dzisiaj wydarzy. Najpierw muszę pogodzić się z tym, że mi się nie udało. Straciłem June. I ciągle nie wiem, jak sobie z tym poradzić...

Bardzo mi przykro. Przestań próbować... Proszę, nigdy więcej. Ja po prostu nie mogę.

Każde wyszeptane przez nią słowo było jak katastrofa atomowa. Jak uderzenie komety. Jak ta chwila tuż przed wypadkiem, gdy wszystko nieruchomieje, świat wypełnia grzmot i rzeczywistość rozpada się na kawałki.

Nie zamierzam przyjąć tego do wiadomości, bo tak bardzo chcę June w moim życiu, że to pragnienie mnie obezwładnia. Chcę się budzić u jej boku, chcę widzieć jej śmiech, gdy ją rozbawię albo, niech jej będzie, bo ją śmieszę, chcę rzucić jej świat do stóp i brać ją w ramiona, i...

Z trudem przełykam ślinę, zaciskam powieki, zwieszam głowę i błagam los, by pozwolił mi obudzić się z tego koszmaru.

Chcę krzyczeć, przeklinać, na czym świat stoi i rozwalić klub na kawałki. W tej chwili nic dla mnie nie znaczy. Jest mi równie obojętny jak firma i oczekiwania mojego ojca, majątek na moim koncie czy moja przyszłość, bo nie ma w niej June. W tej chwili liczy się tylko to.

Idiota ze mnie. Siedzę tu i uzalam się nad sobą jak ci wszyscy żałośni faceci, którzy zakochali się i całkowicie stracili głowę z miłości. Zdecydowanie jestem jednym z nich.

Typem, którym nigdy nie chciałem się stać...

Czuję lekkie pulsowanie w skroniach, whisky pomaga, kołysze mnie i otula jak ciężki koc. W moich myślach ponownie zjawia się June, nie mogę przed nią uciec.

– Cholerny świat! – Zrywam się na równe nogi, chwytam szklankę, ciskam nią o ścianę za ladą, w wielkie lustro przy półkach z alkoholami.

Na tafli pojawiają się rysy.

Trzask, szczęk, brzęk.

Okruchy. Wszędzie okruszki.

– Cholera! – powtarzam, przyciskam dłonie do oczu i z głośnym jękiem opadam na wysoki stołek barowy.

Walczyłem, póki mogłem. Wierzyłem, że w głębi duszy ona tego pragnie. Teraz już wiem: przyciąganie to nie wszystko. Bo June nie chce ze mną być. Muszę to uszanować. Kiedyś będzie lepiej. Kiedyś będzie dobrze. Jednak teraz myślę w kółko tylko o jednym: straciłem ją.

Rozdział 1

Każdy chciałby uwierzyć, że istnieje powód, dla którego jest taki, a nie inny...

June

Pewnych rzeczy nie da się zmienić, nieważne jak bardzo się tego pragnie i jak bardzo się stara. Można tylko z nimi żyć. I próbować o nich zapomnieć albo przynajmniej zepchnąć na dno świadomości. Uzmysławiam to sobie każdego dnia, ilekroć patrzę na swoje odbicie w lustrze. I nienawidzę tego.

Chociaż nie, żeby tego nienawidzić, brakuje mi już sił. Po prostu tego żałuję. Cholernie żałuję. A to różnica.

Z westchnieniem sięgam po szczotkę i rozczesuję włosy. Znowu trochę urosły, ale nadal są znacznie krótsze niż te, które nosiłam dawniej. Obciąłam je pod wpływem impulsu, zanim Andie przyjechała do Seattle. Wiele lat długie włosy były mi tarczą, okryciem. Jak wierny, osłaniający przed światem towarzysz, którego pozbawiłam się sama, nie zastanawiając się nad tym zbyt wiele.

Minęło kilka tygodni, zanim przyzwyczyłam się do nowej fryzury, ale zdążyłam ją polubić i od tego czasu regularnie podcinam włosy.

Przyglądam się sobie z każdej strony w średniej wielkości lusterku na moim stoliku. Na biurku, które nie zasługuje na tę nazwę. Służy mi przede wszystkim jako toaleta, bo jedynie we własnym pokoju czuję się w miarę bezpiecznie. Tylko tutaj mam dość spokoju, żeby zmyć makijaż albo żeby go nałożyć. Tak jak teraz.

Szczotka ląduje w jednym z koszyczków, w których trzymam niezliczone tusze do rzęs, szminki, trochę różu i inne drobiazgi. Wyciskam odrobinę kremu na dłoń i delikatnie wklepuję w twarz. Tym samym przygotowuję skórę na to, co musi znosić już od lat – zaraz nałożę na nią bardzo drogi podkład kryjący. Który oczywiście, jeśli wierzyć reklamom, wygląda całkowicie naturalnie i jest niemal niezauważalny.

Żałośnie mała tubka kosztuje około sześćdziesięciu dolarów. Czasami wystarcza mi na tydzień, o ile obchodzę się z nią bardzo oszczędnie, nie poprawiam makijażu w ciągu dnia i nie nakładam go ponownie, co właśnie teraz chcę zrobić. Grubo ponad dwieście dolców miesięcznie idzie na sam podkład. Gdyby to były moje pieniądze, nie bolałoby mniej, tylko inaczej. Chciałabym poszukać pracy, niby zabieram się do tego już od wielu tygodni, ale zawsze coś krzyżuje mi szyki, a większość moich zarobków szłaby właśnie na makijaż. Byłoby trudno, jednak wówczas zerwałabym kontakt z rodzicami, szczególnie z mamą. Przykre, że nie łączy nas już nic więcej poza tym. Zapewne to jeden z powodów, dla których ciągle się na to nie zdobyłam. Ciągle liczyłam, że...

Prycham pogardliwie, zaciskam usta w wąską kreskę i oddycham głęboko przez nos.

Moja ręka porusza się automatycznie, opuszki palców dotykają lewego policzka, przesuwają się po kości policzkowej, coraz niżej, na szczękę i brodę, na szyję, przez lewy obojczyk, aż do nasady piersi. Gdybym zamknęła oczy, może mogłabym zapomnieć, że ta część mojego ciała istnieje naprawdę. To jednak zapewne nie miałoby znaczenia. Bo ona tam jest. Wściekle

czerwona, rozpalona jak płomień w ciemności, jak wino rozlane na jasnym dywanie.

To ma swoją nazwę. *Naevus flammeus*. Znane także jako znamię naczyniowe płaskie, a mniej oficjalnie – znak ognia lub plama z wina porto. Na początku może to zabrzmieć ekscytująco jak coś wyjątkowego, może nawet wzbudzić zaciekawienie, ale w końcu to nic innego jak wada, piętno, które mi towarzyszy, odkąd sięgam pamięcią. I już zawsze tak będzie.

Zdaję sobie sprawę, że się nie powiększa, zresztą to niemożliwe. Jednak czasem odnoszę takie wrażenie. Zdarzają mi się koszmary, w których plama, która i tak jest wielkości mniej więcej trzech dłoni, rozrasta się, rozlewa, aż pochłania mnie całą i nie zostaje już nic.

A przecież już się nie przejmuję... Prawda?

Szybko nakładam fluid, rozprowadzam go gąbeczką po skórze. Maluję się metodycznie, mam doświadczenie, koncentruję się i widzę, jak wściekle czerwona skóra znika pod warstwą kamuflażu. Mój drogi podkład matujący zasłania wszystko, co powinien, a także całą resztę. Na przykład piegi na nosie czy malutką bliznę u nasady włosów. Łatwo się rozprowadza, nie plami, a miejsca przejścia są niemal niewidoczne.

Minęło trochę czasu, zanim znalazłam podkład idealny. Taki, który nie całkiem wysusza skórę, nie doprowadza jej do stanu z okresu dojrzewania, jest wodoodporny i po całym dniu wygląda jeszcze w miarę świeżo. Podkład, który nawet po dwunastu godzinach maskuje wszystko, nie pęka, nie kruszy się.

Poszukiwania lekarstwa na moją skazę, a później idealnego sposobu jej maskowania zaczęły się w przypadku mojej mamy już kilka miesięcy po tym, jak się urodziłam, gdy znamię stawało się coraz bardziej widoczne. Szybko się okazało, że zostanie ze mną na zawsze i nie da się go usunąć ani zmniejszyć laserem. To wszystko przyprawiało mnie wyłącznie o ból. Sama zaczęłam szukać rozwiązania, kiedy miałam mniej więcej dziewięć lat. To wiek, w którym

dzieci potrafią być bardzo okrutne. To wiek, w którym moja mama doszła do wniosku, że naprawdę nie może robić nic innego, niż mnie ukrywać. Co powiedzą ludzie, nasi nieliczni sąsiedzi, nauczyciele czy, przede wszystkim, jej klienci dążący do perfekcji za wszelką cenę? Co powie świat? Przy tym w całej tej sprawie moja matka jest największym problemem. Dopóki istnieje skaza na mojej skórze, zawsze będzie patrzeć na mnie i ciągle sobie przypominać, że zawiodła. Stworzyła coś nieidealnego, czego nie da się naprawić. I dlatego od lat do dzisiaj robi, co w jej mocy, by ukryć ten błąd, by chociaż czasami o nim zapomnieć. A ja poszłam w jej ślady. Kiedy nie mam makijażu, ilekroć zerkam w lustro, widzę to samo co moja matka – coś, co powinno być ukryte.

Gotowa. Nic nie przebija, żadna plamka, żaden ślad, żadna nierówność. Falszywy obraz, który przez lata doprowadziłam do perfekcji.

Szybkim ruchem poprawiam linię brwi, maluję tuszem jasne rzęsy, żeby w ogóle było je widać. Odrobina błyszczyku na usta i proszę bardzo. Makijaż skończony. Do tego puder i spray utrwalający. Gotowe.

Odwracam się, patrzę na telefon na łóżku i widzę, że dzwoniła Andie. Miałyśmy się spotkać w klubie przed jej zmianą i trochę pogadać, zanim w środku rozpęta się piekło, ale kolejny raz zapomniałam o bożym świecie.

– Cholera – mamroczę i chcę do niej napisać, gdy pojawia się wiadomość od niej.

Spóźniasz się. Czekam w klubie. Co powiesz na to, by w czasie ferii zacząć nowy trend: mniej makijażu?

Niezła próba. Może innym razem. Przebieram się i wychodzę. Przepraszam, że na mnie czekałaś.

Nie ma sprawy. Do zobaczenia!

Andie wie, podobnie jak ja, że nie będzie innego razu. Ten jeden w liceum wystarczył. To był jeden z najgorszych dni w moim życiu, chociaż miałam u boku Andie.

Jest czerwiec, koniec trzeciego semestru. Na szczęście moja współlokatorka nie mogła się doczekać momentu, kiedy stąd wyjedzie, i wreszcie zostawiła mnie samą. Nie znosi mnie, odkąd przespałam się z typem, w którym była zakochana. Czyli mniej więcej od mojego pierwszego tygodnia w Seattle.

Gdybym wiedziała, że to jej facet, w życiu nie poszłabym z nim do łóżka, ale Sara ciągle jest o to wściekła. Przyznaję, od tamtej pory jestem ostrożniejsza, jeżeli chodzi o szybkie numerki.

Mówiąc krótko, to był najgorszy początek, jaki mogłabym sobie wyobrazić.

Że już nie wspomnę o tym, że zaczęłam pierwszy semestr na uniwersytecie Harbour Hill bez Andie i tym samym przez kawał czasu byłam sama. Po tej aferze z Sarą nadal tak jest, także ze względu na to, że od zawsze mam kłopoty z nawiązywaniem nowych znajomości. W przypadku Coopera, Dylana i Masona było inaczej. Ale to wyjątek. Andie była tam i w pewnym sensie to ona nas połączyła. Jednak i chłopcy nie wiedzą, jaka jestem naprawdę. Odkrycie się przed niewłaściwymi ludźmi – na to ryzyko nie decyduję się już od bardzo dawna.

Nagle rozlega się pukanie do drzwi. Zdumiona ściągam brwi.

Większość lokatorów akademika wybyła, podobnie jak Sara. Nie spodziewam się nikogo, jednak stukanie ponownie wybrzmiało – energiczniejsze, bardziej stanowcze.

Wzdycham zdenerwowana, może także odrobinę zła, ale zaraz podchodzę do drzwi. W życiu nie dotrę do klubu na czas.

– Już idę! – krzyczę, otwieram... I gapię się na karton. Karton na dwóch nogach?

– Stevens... Panna June Stevens? – Zza pudła wylania się niski facecik i stawia paczkę na podłodze.

– Tak – odpowiadam po chwili wahania.

Chyba niczego nie zamawiałam? A może jednak? Nerwowo szukam w pamięci, lecz nic mi nie przychodzi do głowy. Skoro niczego nie zamówiłam, w takim razie... O nie!

Znowu.

– Proszę tu podpisać. – Kurier z uśmiechem podsuwa mi ma-
lutkie urządzenie, którym zeskanował kod z boku paczki. Ciągłe
zdumiona pochylam się, podpisuję i rzucam niby od niechcienia:

– Nie wie pan, od kogo to? Ani co jest w środku?

– Przykro mi, ale nie. – Potrząsa głową i patrzy na mnie smut-
nymi oczami jamnika.

– Dobra, dzięki. Zaraz się dowiem. – To rzeczywiście było dur-
ne pytanie. Jakby kurierzy znali zawartość dostarczanych prze-
syłek.

– Miłego wieczoru. – Wymieniam czytnik na paczkę i sama
już nie wiem, co mnie bardziej zbija z tropu: tajemniczy, mimo
sporych rozmiarów, lekki karton w moich dłoniach czy uprzej-
mość młodego kuriera. Nigdy nikt nie dostarczył mi przesyłki
z takim promiennym uśmiechem.

Po jego wyjściu zamykam drzwi kopnięciem i kładę paczkę na
kanapie. Jeżeli ją rozpakuję, spóźnię się jeszcze bardziej. Zagryzam
wargę, splatam ręce na piersi i przez chwilę myślę intensywnie...

– Oj tam. – Rozrywam opakowanie. Wiem doskonale, że cie-
kawość nie dałaby mi spokoju przez cały wieczór. Zmyłabym się
z klubu pod byle pretekstem, żeby wrócić do domu i rozpako-
wać przesyłkę. Wolę tego oszczędzić i Andie, i sobie.

Szelest i trzask. Otwieram pudło. Co to jest, do cholery?

Gałęzie. Ktoś przysłał mi ogromny pęk gałęzi. Z otwartą bu-
zią gapię się na cieniutkie ciemnobrązowe gałązki owinięte pa-
stelworóżową, lśniąca wstążką.

I wtedy dostrzegam kuleczki. Malutkie, jasne, śliczne kulecz-
ki. Dotykam ich delikatnie i nie mogę uwierzyć, co czuję. Cu-
downe okrągłe i owalne, naturalnie białe na tle brązowych ga-
łęzi, są mięciutkie. Jak futerko.

Ostrożnie wydłużam wiązanekę z kartonu. Widzę, że na wstąż-
ce coś jest. Wizytówka. Prosty bilecik. Rozchylam go i słowo,
które dostrzegam, sprawia, że coś we mnie pęka.

Kotku. Jest napisane: kotku.

Utwierdzam się w podejrzeniach.

– Ten idiota. Ten cholerny, wkurzający, arogancki... – wyrwa mi się. Rzucam bukiet na kanapę i idę do siebie. Energicznie chwytam za telefon.

Słyszę sygnał, a potem, jak przyjmuje połączenie.

– Mason! Ty... – Jestem tak wkurzona, że nie mogę go nawet porządnie zwymyślać.

Słyszę jego cichy śmiech, niski i ciemny.

– Mógłbyś mi łaskawie wyjaśnić, po co mi przysyłasz wiecheć badyli? Albo jeszcze lepiej, czemu w ogóle cokolwiek mi ciągle wysyłasz? Nie potrzebuję tego, Mason. Ani kwiatów, ani czekoladek, ani zaproszeń do kina, teatru czy gdzie tam jeszcze. – No dobra, z pralinami to przesada, były naprawdę pyszne. Kwiaty też, ale o tym nie musi wiedzieć. Chodzi o zasadę. Takie rozmowy prowadzę z nim cały czas, odkąd Cooper i Andie są razem. Wydaje mi się, że pamięć mu szwankuje. Jakby nie był w stanie zapamiętać moich słów, do jasnej cholery.

– Pomyślałem sobie, że ci się spodobają. To kotki wierzby, baze. Twarde i zarazem miękkie, wyjątkowe. Jedyne w swoim rodzaju. Przypominają mi ciebie.

– Doprowadzasz mnie do szału, wiesz o tym?

– Umów się ze mną, June.

Przewracam oczami i złość się na niego, że tak bardzo to wszystko utrudnia.

– Nie.

– Znowu cię o to poproszę. – Śmieje się ponownie, a ja staram się myśleć o czymś innym, bo w tej chwili widzę go doskonale oczami wyobraźni. Jego spojrzenie i dołeczki w policzkach.

– Jeżeli sprawia ci to przyjemność, proszę bardzo. Ale nie licz, że kiedykolwiek usłyszysz inną odpowiedź.

– Zobaczymy, kotku, zobaczymy... Na razie.

– Nie mów tak do mnie, ty durniu! – Robi to celowo. Jestem o krok od wybuchu, on jednak rozłącza się bez słowa.

Dlaczego akurat on jest właścicielem najfajniejszego klubu w mieście?

Mason Greene. Żałuję, że wtedy nie utopił się w moim koktajlu albo nie udławił ananasem.

Odkładam telefon na łóżko, ściskając nasadę nosa, idę do saloniku, patrzę na bazie i koniec końców porzucam myśl, by się ich pozbyć. Są na swój sposób naprawdę ładne. Podobają mi się. Choć trudno mi to przyznać. W życiu nie zdradzę tego Masonowi.

Co teraz? Wstawić do wody czy przeżyją bez niej? Przyglądam się im uważnie i zauważam, że są suszone. Świetnie, i tak nie mam wazonu, w którym mogłabym umieścić ten bukiet. Dlatego opieram go o ścianę przy biurku i mam nadzieję, że będzie tak stał. Szybko zbieram resztki kartonu i w końcu podchodzę do szafy z ubraniami, żeby przygotować strój na dzisiejszy wieczór. Zazwyczaj najpierw wybieram ciuchy, potem robię makijaż, dzisiaj jednak musi być inaczej. Byłam zbyt pogrążona w myślach, zagapiłam się i usiadłam przy toalecie w szlafroku.

Stoję przy otwartej szafie, gapię się na jej zawartość i nic na to nie poradzę, znowu odpływam myślami. Zaczęły się wakacje. W przeciwieństwie do Andie, która pracuje w klubie, spędza czas z Cooperem, Skarpetą, a czasami z Dylanem i Netflixem albo ze mną, tym samym zawsze ma coś do roboty, ja nie mam... Nic. Po prostu nic. I jeszcze te praktyki. To najgorsze, bo do początku czwartego semestru muszę odbyć obowiązkowe praktyki w zakresie marketingu, organizowania eventów albo zarządzania biurem. Mają one trwać co najmniej cztery tygodnie, wykładowca dał nam to jasno do zrozumienia. A w tym wypadku: więcej znaczy więcej. Odpycham od siebie panikę, bo po pierwsze zajęłam się tym za późno, a po drugie, i ważniejsze, zgubiłam potwierdzenie odbycia praktyk, które miałam

w kieszeni. Muszę wymyślić coś nowego, jeżeli chcę się dostać na wszystkie zajęcia w nowym semestrze, inaczej się cofnę, a przy odrobinie pecha to może oznaczać koniec stypendium. Bo zawsze znajdują się ludzie lepsi, szybsi, mądrzejsi i piękniejsi od ciebie. Zawsze. Tego nauczyło mnie życie. Brutalnie.

Z utratą praktyki i być może odebraniem dofinansowania łączyłyby się inne problemy. Oprócz braku pieniędzy słabo byłoby się tłumaczyć, dlaczego nie udało mi się utrzymać stypendium. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by spełnić moje marzenie i razem z Andie otworzyć własną firmę. Jeżeli to mi się nie uda, to...

Nie, teraz nie mogę o tym myśleć. Ktoś prędzej czy później odpowie na moje ogłoszenie, ktoś musi. Nie poddam się!

Dumnie unoszę głowę, wyciągam ciuchy z szafy, decyduję się ostatecznie na dzinsy boyfriendy, które luźno opadają na biodra, i słodką koszulkę. Gdzieś tutaj mam jeszcze pasujące szpilki, tak, na pewno gdzieś są. O proszę! Triumfalnie wyciągam je z szafy.

Jedną ręką usiłuję się ubrać, drugą sięgam po komórkę. Zaciśkam zęby, gdy widzę godzinę. Andie nienawidzi tego, że wiecznie się spóźniam. Cholera. Naprawdę nie robię tego celowo. Nie pojmuję, jakim cudem ciągle do tego dochodzi.

Z przekleństwem na ustach wybieram numer korporacji tak-sówkowej i mam nadzieję, że samochód potrafi latać, żeby Andie nie wydrapała mi oczu. Mogłabym wziąć grata, ale zaparkowanie nim w centrum miasta to mordęga. Poza tym dobrze zrobi mi drink. Albo dwa... Byle bez ananasa.